

I Konkurs Literacki Małopolskiej Izby Lekarsko Weterynaryjnej 2023/2024

Miejsce drugie (ex aequo) - lek wet Ewa Chomutowska

Dzień, który zburzył balans

Ruszyła spod świateł z piskiem opon, wymijając ziewającą nastolatkę we wczorajszym makijażu. Wakacje ma, siksa jedna, z imprezy wraca! Jeszcze zobaczy jak to jest, niech no tylko pożyje... Spojrzała we wsteczne lustro, mimochodem dostrzegając zmarszczkę na swoim czole. Czemu tak pała nienawiścią do świata? Cel jej życia i sens istnienia przedstawia się jak najbardziej w porządku: niesie pomoc w potrzebie puszystym potrzebującym. Tylko dlaczego ta potrzeba jest w trzydziestostopniowym upale, w lipcu w sobotę? Przemęczona jest, ale to minie, przecież kocha to co robi.

– Dzień dobry! – krzyknęła machając do stałej klientki, przechadzającej się spokojnie pod drzwiami ze swoim pudelkiem.

Czasem ją lubiła, a czasem miała ochotę wygonić za drzwi. Dziś chyba nie będzie tak źle.

– Kur...czaki...! – przeklęła szpetnie, na szczęście głos został otulony odrapaną karoserią jej prawie zabytkowej toyoty.

Przy parkowaniu silnik pożegnał się z nią malując feerią barw chyba wszystkie możliwe kontrolki. Po ośmiu godzinach roboty czeka ją jeszcze szukanie czynnego warsztatu. Cudnie. Zamknęła oczy, wzięła dwa głębokie oddechy, powtórzyła szeptem: „kochasz swoją pracę” i z przyklejonym uśmiechem na twarzy rozpoczęła dzień.

Poczekalnia z rzędem twardych, plastikowych krzeseł nie sprawiała wrażenia przytulnej, ale surowej i sterylnej. Jej szef - właściciel przychodni - cechował się pragmatyzmem, do estety było mu daleko. W gabinecie przyjęć wystrój przedstawiał się równie ascetycznie. Jasnoniebieskie ściany, podłoga z szarych kafelków, w jednym kącie biurko, w drugim stół do badania, w trzecim szafka ze schowanymi lekarstwami. Nieco inaczej wyglądało to w szpitalu i na zapleczu, czyli tam, gdzie klienci nie mieli wstępu. W szpitalu klatki i boksy lśniły czystością, ale na ich kratkach wisały wspólnego użytku smycze i kagańce, w zlewie piętrzyły się miski, o których umyciu zapomniała wczoraj. Na półce w stosach leżały złożone w kratkę uprane koce, ale te brudne luzem kłębiły się w okolicy pralki, czyli w całej drugiej części pomieszczenia. Jeśli dodamy do tego zapach otwartych karm, niczym ze sklepu zoologicznego oraz brak okien w tym pokoju uzyskamy obraz miejsca, gdzie żaden zwierzak nie chciałby przebywać dłużej niż to konieczne. Pokój socjalny, socjalnym był tylko z nazwy, bo jednocześnie na dyżurze przebywał tylko jeden lekarz naraz, więc nie wiadomo z kim i jak można by się w nim socjalizować. Tu rzadko ktoś sprzątał, zresztą, te dwa metry kwadratowe z szafką na rzeczy osobiste, czajnikiem i fotelem nie pozwalały bałaganowi się rozrosnąć. Czy lubiła to miejsce? Trochę kochała, a trochę nienawidziła. Nigdy nie miała czasu, by się głębiej zastanowić dlaczego. Zrzuciła na

pluszowe pokrycie torebkę, w biegu włączyła komputer, przetarła blat spirytusem jak zwykle kaszłąc od drażniącego zapachu i zarzucając upaprany krwią („barwnikiem do szkiełek”) wczorajszy fartuch już zaprosiła do gabinetu.

Dzień mijał. Odrobaczania, telefony, szczepienia, biegunki, wymioty... To było teraz jej życie. W takich chwilach zapominała kim jest poza pracą, czym się interesuje, jaki ma charakter, co ma w planach na potem, bo przecież życie po pracy nie istnieje. Teraz jest w tym świecie. Odczuwała to jak swoją misję, w której czas się zatrzymywał. Z ulgą przywitała godzinę 18:00. Na myśl o zjedzeniu, czekającego na nią cały dyżur w bocznej kieszeni torebki, soczystego jabłka gatunku champion jej autonomiczny układ nerwowy wytworzył już zwiększoną ilość śliny. Rozejrzała się. Po poczekalni niespokojnie chodziła w kółko już tylko pani po odbiór kota, gdy wpadł mężczyzna z pudełkiem.

– Proszę pani! Moja Pusia umiera!

W tym momencie Monika prawie się popłakała. Poczula, że żołądek zaprotestował pierwszym bólem. Powinna w końcu umówić się na gastroscopię, była pewna swoich wrzodów. Miała dosyć, a jej głowa już powoli przedstawiała się na to, że istnieje życie poza pracą. Już jest po czasie, musi szukać mechanika, a jeszcze to...

Wyciągnęła Pusię. Temperatura nieco obniżona, osłuchowo bez zmian, delikatnie omacała brzuszek - królicza rzeczywiście cierpiała na ostre rozszerzenie żołądka. Ten był jak balonik, twardy, bolesny. Pacjentka była jeszcze w niezłym stanie ogólnym, ale wymagała całonocnej hospitalizacji. Dała jej kilka zastrzyków i odesłała do przychodni całodobowej. Na szczęście klient nie oponował. Nie był z tych co przywiązywał się łańcuchami do drzwi i wyzywał lekarzy od nieczułych albo takich co zabijają jego zwierzę, bo każą jechać gdzieś indziej. Już 18:30. Do 19:00 jest czynny warsztat, a jeszcze lawetę trzeba wezwać.

W tym momencie spojrzała w szpitalu na kocura, którego miała wydać po kroplówce do domu. Był lodowaty. I sztywny od co najmniej kilku godzin. Nie miała personelu pomocniczego, a przyjęła tylu pacjentów, by nie zdążyć co chwila monitorować kota.

– Orzeszku...!

To nie był tak do końca jej błąd. Pani nie miała pieniędzy, nie było ją stać na badania dodatkowe, a w przypadku Lucka zalecane było badanie krwi i usg brzucha, czy aby tylko mamy do czynienia z niewydolnością nerek, jak podejrzewała, czy jednak działo się coś nagłego. Teraz patrzyła na małe ciało. Pani miała tylko jego na świecie, został jej po zmarłym mężu. To był jej stały pacjent. Pamiętała pierwszą wizytę uroczej siwej pary staruszków, trzymających się za ręce. Pan Leopold udawał twardziela, nie zabrał nawet z domu laski, którą zwykł się podpierać, bo w drugiej dłoni dzierżył koszyk z małym czarno-białym kociakiem, miauczącym na całą poczekalnię. Przy szczepieniu odwracał wzrok, twierdząc, że chce zagadać żonę, a tak naprawdę obydwójce wiedzieli, że to on panicznie boi się igieł. A teraz.... Monika zawiodła. Wyszła do poczekalni.

– I co? Jak tam Lucuś? – z nadzieją w swoich ogromnych szarych oczach spytała pani Zofia.

– „Niech to szlak, muszę to zrobić!” – pomyślała mimowolnie.

Monika urwała szczapkę trzymanej na dnie szuflady na tę okazję mieszanki leśnych ziół, okręciła się wokół własnej osi, wyszeptała coś i.... Znów jest w połowie dnia. Masa pacjentów przed nią. Nie ma nic za darmo. Jej zmęczenie nie cofnęło się. Straci część nocy i jutrzejszego dnia, ot, pstryknie i ten czas zniknie. Gardziła takim postępowaniem, wierzyła w

medycynę, w wiedzę, a nie w magię, którą traktowała jak oszustwo, ale... Znała ją. A może to magia znała Monikę?

Nie myślała o tym teraz. Najważniejsze, że trafiła w dobry moment, gdy Luckek grzeczny i, przede wszystkim, żywy czekał przed drzwiami.. Uśmiechnęła się szeroko:

– Zapraszam Lucyferka!

Skrajnie zmęczona, ale zadowolona wydawała właśnie Lucka po zabiegu ratującym życie do domu. Cały i już prawie zdrowy. Pani Zofia dziękowała jej ze łzami w oczach.

– Wie pani doktor, bo ja już miałam złe przecucia dziś. Rzadko się mylę w przecuciach. Pani jest czarodziejką. Dziękuję! – wyszeptała i podała zawiniątko trzęsącymi się rękoma.

– Ja pani doktor bułeczki cynamonowe przyniosłam, bo nie mogłam siedzieć i czekać, więc pieklam dziś cały dzień. Proszę, na zdrowie!

W takich chwilach kochała swoją pracę. Nie tylko za wdzięczność klientów, ale za podniesienie poczucia własnej wartości. To trochę zakamuflowało jej wyrzuty sumienia za to co zrobiła z czasem. A musiała go przecież jeszcze „oddać”. Kiedy to zrobi? Było później niż zwykle. Podczas wypuszczania pani Zofii do korytarza wdarł się jeszcze jeden człowiek:

– Proszę pani! Moja Pusia umiera! Ja tu czekam już dwie godziny na panią, więc ją w samochodzie grzeję.

– Ale już zamknięte.... – zaczęła Monika. – A zresztą, niech pan wchodzi, ja już i tak nie mam czasu dziś na nic.

– Dziękuję! Proszę ją ratować!

Pusia po tym oczekiwaniu była w znacznie gorszym stanie niż w tej sytuacji przed cofnięciem czasu. Tego Monika się bała najbardziej w „zabawie” w magię. Życie za życie?

– Operujemy. Natychmiast – zdecydowała.

Podała leki, wykonała prawidłową gastrotomię z usunięciem ciała obcego z jelit przez żołądek. Wyszła do poczekalni, by odnaleźć śpiącego przy stoliku kawowym mężczyznę:

– Halo, proszę się zbudzić. Wszystko poszło dobrze. Pusia jest bardzo dzielna, czuje się nieźle, ale muszę jeszcze zostawić ją na noc u siebie na kroplówce i obserwacji. Niech pan jedzie do domu.

– Ojej, świetnie! Bardzo dziękuję! A może... Podwieźć gdzieś panią?

– Nie, nie trzeba, mam auto... A wie pan, że tak? Akurat zepsuła mi się toyota tuż pod pracą.

– Co pani mówi? To ja tu siedzę beczynn timer, a mogłem pomóc! Przecież ja jestem mechanikiem! Dziś panią odwożę, a jutro przy odbiorze Pusi się tym zajmę. Dariusz jestem.

– Monika – odpowiedziała mechanicznie, zbyt zmęczona, by zaprotestować przeciwko takiemu spoufalaniu się z klientem.

Tej nocy Monika nie spała, bo i czas dla niej nie istniał. Pięć godzin przeznaczone na sen musiała oddać światu w zamian za cofnięcie czasu. Dziś miała mieć wolne, ale zdarzało jej się umawiać sobie pilnych pacjentów i na niedzielę: tym razem był to oczywiście Lucyferka

kontrolę, bo miała o niego nadal wyrzuty sumienia. Czy każdy lekarz robi więcej niż powinien tylko wtedy, gdy wcześniej musiał coś popsuć i teraz sprawdza czy nie za dużo? Przy okazji miała też oddać zupełnie już zdrową Pusię.

Darek przyszedł z podziękowaniami. Piękny bukiet, cały złożony z polnych kwiatów, zawierał też maki. Piękne, społecznie zakazane – teoretycznie przez właściwości narkotyczne. W praktyce mało kto znał jeszcze jedną ich cechę. Maki wędły w obecności osób, praktykujących magię w ciągu ostatniej doby. Większość tego nie zauważała.

Darek popatrzył jej głęboko w oczy i posmutniał. Odprowadził wzrokiem panią Zofię i spytał najdelikatniej jak umiał:

– Użyłaś magii, bo ktoś nie zapłacił?

– Co też pan... Co ty sugerujesz?

– Po kolei. Ja jestem magującym. Podejrzywałem to u ciebie po niektórych odruchach. Jak się spieszysz nie patrzysz na zegarek, a na wysokość słońca. Gdy się potykasz o próg wracasz i go zamiatasz. Dotykasz podłogi pod stopami czubkiem palców lewej dłoni, gdy próbujesz sobie coś przypomnieć. Nawet po czole się drapiesz jakbyś miała na głowie kapelusz! Co z tym kotem?

– Żyje.

– Użyłaś magii. Z jego powodu.

– Naprawiłam swój błąd.

– Już myślałem, że to dla mnie... Dla mojej Pusi.

– Pusia ma się dobrze.

– Znasz swoją cenę?

– Moją ceną jest czas.

– Ach, powinienem był zauważyć, że nie spałaś! Chodź, odwiozę cię, naprawię ci samochód, a wieczorem na spokojnie porozmawiamy. Pokrywają nam się rejony.

Nie miała siły oponować i wkrótce, już u siebie na kanapie, zapadła w głęboki sen. Śniły jej się wstające z kolan maki.

Dzwonek do drzwi nie zdążył zabrzmieć, ponieważ Monika zbudziła się od przytłaczającego naporu magii na jej półpiętro. Czowała, że jest już wykorzystana, niegroźna, ale nie podobała jej się ilość wygenerowanych odpadów. Otworzyła zamasyście, chwytając z etażerki chustę do założenia na szyję. Ciepłą i ochronną jednocześnie. Zdążyła zauważyć, że za oknem zaczęło się ściemniać.

– Tak tu nie wejdiesz, proszę się najpierw rozładować! – krzyknęła zderzając się z piersią Darka.

– Ale... Auto ci naprawiłem! – chwycił się ostatniej deski ratunku, dolewając oliwy do ognia spojrzeniem zbitego szczeniaka (lub Hugh Granta, jak kto woli).

– NAPRAWIŁEŚ? Tak naprawiasz auta? A sam coś potrafisz, czy tylko zmuszasz magię do roboty za ciebie?

– Ej, nie przesadzaj! Dobrze wiesz, że to praca jak każda inna.

Wiedziała... Tylko nie uznawała jej. Nigdy nie pogodziła się ze swoim darem i nie szanowała go ani u siebie, ani u innych. Szczególnie jak ktoś nim tak szastał.

– Jaka jest twoja cena? – spytała Darka.

Nie wyglądał na zmęczonego ani wyczerpanego. Popatrzył na nią znów Hugh Grantem, czym tym razem ją udobruchał. Poszli na spacer. Opowiedział jej wszystko. Jego początki, jego ćwiczenia razem z mamą, potem pracę, w której czerpał z magii, ale jednak realnie ją wykonywał. Co więcej nadal naprawdę ją lubi. Cena? Ceny były różne, zależne od pobudek. Najczęściej wystarczyła czysta dobroć.

– Zaraz, zaraz... Ja musiałam zapłacić za cofnięcie czasu i ratunek Luckowi! Nie wzmówisz, że to nie było dobre!

– Czemu to zrobiłaś?

– Bo kot umarł...

– Ale nie wskrzesiłaś go.

– Nie potrafię aż tak... Tylko do pewnej chwili. Albo cofnąć czas.

– Czemu to zrobiłaś?

– Bo umarł.

– Co poczułaś widząc, że umarł?

– Że to moja wina, zostawiłam go, bez uwagi, że szkoda mi ludzi, że...

– Bingo!

– Co?

– Powiedziałaś “że to moja wina”. Czyli twoim celem nie było ożywienie go, a wyzbycie się winy.

Zatrzymała się. Po raz pierwszy odkąd pamięta, poczuła narastającą nadzieję na normalne życie: bez uciezek czasowych, a z zachowaniem daru. Dobrze wiedziała, że odrzucenie go nie jest możliwe. Wiedziała też, że nie jest przypadkiem spotkanie dwóch magujących.

– Czego ty chcesz? Jaka jest twoja rola?

– Pomogłaś mi, a ja tobie. Wyprowadzam się z tego rejonu, może od razu przekażę ci areał? Mamy tydzień na wyjaśnienia.

Zaczęli się widywać codziennie, pokazywali sobie co potrafią. Monika uczyła się jak używać magii, z jakimi intencjami, by nie odpłacać tego czasem. Darek natomiast szastał magią na prawo i lewo. Już na czwarty dzień Monika miała serdecznie dość. Może nie była najlepsza, ale jako naturalistka wiedziała, że co czerpie musi oddać, nie podobał jej się całkowity brak szacunku Darka do daru. Tak... jakby mu się należał i był niewyczerpany. We czwartek miarka się przebrała.

Krzycząc wybiegła z jego chatki w puszczy, niewybrednymi słowami określając co by chciała, by on właśnie robił sobie sam i gdzie życzy mu, by umieścił swoją magię.

Biegła skrótem przez las, maki klękały, wiatr się wzmagał, zatrzymała się nagle jakby uderzyła w ścianę. Odkryła, że ma zamknięte oczy. Otworzyła je i zobaczyła jak bezwiednie rozmawia w pracy z klientem, głaszcząc jego małego kotka i wpisując szczepienie do książeczki. Mrugnęła. Na chwilę zobaczyła las. Otworzyła - przychodzi. Zamknęła - leżała na igliwiu, metr od niej przyglądała jej się z zaciekawieniem wiewiórka. Otworzyła. Klient skarży się na cenę wizyty, bo przecież jego piesek dostał tylko jeden zastrzyk i od razu wyzdrowiał, czemu kosztowała 300 zł? Zamknęła oczy - las. Otworzyła - kolejne pretensje. Zamknęła. Wiewiórka obracała w łapkach plastikowy klikający przedmiot, całą skórę miała

czarną. Martwica? Oparła się dłońmi o mech, podpełzła bliżej, wiewiórka obróciła paciorki w jej stronę. Futerko, wcześniej rude, teraz ociekało tuszem z jej pieczętki lekarskiej.

– Wybieraj – zaszumił las.

Nie chciała zostawiać zawodu, znała jego blaski i cienie, ale kochała zwierzęta, lubiła i potrafiła im pomagać. Magii nie rozumiała, ale za każdym razem jak z niej korzystała robiła to też ze względu na inne stworzenia, mimo że Dariusz zauważył, że również dla siebie i swojego ego. Słońce zaszło, zaczęło robić się chłodniej, mniej przyjemnie. Nagle wszystko stało się dla niej jasne. Jej cel, jej misja, jej życie. Wstała, zapakowała zaskoczoną wiewiórkę razem z pieczętką do kieszeni i chwyciła gałązkę wierzby. Szepnęła, a ta się ułamała. Wprawnym ruchem, jakby robiła to codziennie zawiązała na niej chustę, tworząc wygodne siedzisko, ulokowała się w środku i odleciała.

Dariusz nie powiedział czy się jej spodziewał. Akurat pielił zioła w ogródku, gdy osunęła się na ziemię.

– Do kąpieli. Bierz mydlnicę i orzechy.

Nie rozumiał, ale zobaczył zmianę w jej oczach. Dopiero po wymyciu biednej wiewiórki i wydaniu jej racji żywnościowej odważył się odezwać.

– Wiesz więcej niż ja – zaczął.

– Nie będę wybierać. Pójdziemy zgodnie z modnym “lajf-balanssem” w moim wydaniu. Jutro robimy plany i fundamenty. Ruszamy z pomysłem na życie.

– My?!

– My głuptasie. Przecież wiedziałeś to od początku.

Tak powstał ośrodek rehabilitacji dzikich zwierząt, prowadzony przez czarodziejów nie z tych czasów, nie z tej daty i godziny. Użytkujących swoją wiedzę i umiejętności w celach, jakie czują, nie dla pieniędzy, nie dla przymusu, nareszcie wolnych w swoich decyzjach. Oni cały czas gdzieś są. I cały czas świat wydaje nowe zapotrzebowanie na takich magów. Każdy z nas słyszał o osobie, której serce bije rytmem Simony Kossak z Puszczy Białowieskiej. O osobie, która idealnie pasowałaby do takich MIEJSC i CZASÓW. Wiemy to, bo czytając właśnie o niej pomyśleliśmy. Te osoby pamiętają, że magia zawsze znajduje swoich, ale mimo to wciąż działają, nie czekają. Żyją czyniąc dobro.